

Wojna polsko-indiańska? – 2

29 lipca 2014

W latach 1850-1914 do południowej Brazylii przybyło ponad 100 tysięcy osadników polskich, niemieckich i włoskich. Proces ten przyczynił się do eksterminacji ludu Xokleng.

STEREOTYP OKRUTNEGO BOTOKUDA A RZECZYWISTOŚĆ

Próbując zrozumieć skomplikowaną różnorodność środowisk społecznych i postaw przejawianych na ich łonie, zarówno w odniesieniu do wspólnot jednolitych i mieszanych, jak i do wspólnoty własnej i obcej, natrafiamy na konieczność rozwikłania wielu niuansów i subtelności, przejawianych na poziomie indywidualnych jednostek je współtworzących. Nie mając w sobie wystarczającej przezorności i dociekliwości, nie zdobywając się na dokonanie przekroju postrzeganej grupy, na zbadanie jej interakcji i zachodzących w niej zjawisk, wystawiamy się na wiatry generalizacji. Umysły nasze znajdują się wówczas pod przemożnym oddziaływaniem mechanizmów upraszczających, które pozornie pomagają nam w łatwiejszym przyswajaniu otoczenia społecznego. Zdani na ich łaskę, w rzeczywistości zamykamy się w gabinecie luster – gabinecie zniekształcającym poszczególne sylwetki. Obserwowane postacie wydają się zintegrowane, a ich czyny odpowiadają pewnej prawidłowości. Jednakże gra światła przedstawiająca nam ten spektakl ulega załamaniu i denaturyzacji. Wydaje się, że nadal trzymamy w ręku monetę, lecz oto po delikatnym pogłaskaniu jej powierzchni, okazuje się ona pozbawiona uwypukleń, znaków i kształtów naniesionych nań przez mincerza. Zupełnie jakby umieszczono ją na szynie po której przed momentem przejechał pociąg. Jednolita, zuniformizowana, idealnie płaska.



Dokładnie taki obraz świata uzyskujemy gdy próbujemy rozpoznawać świat według uproszczonego schematu stereotypów, kształtowanych przez ludzkie mniemanie, przekonania i opinie. Na podstawie zgłoszonej prawidłowości, potwierdzanej przez jednorazowe, subiektywne doświadczenie, a uzasadnianej przez nasze obawy, przypisujemy określonej kategorii ludzi z góry upatrzony zbiór cech. Jeżeli cechy te mają negatywny wydźwięk, a taki przypadek tu rozpatrujemy, nabieramy wobec danej kategorii ludzi dystansu i spodziewamy się ze strony jej reprezentantów postaw niepożądanych. Opisywaną kategorią może być narodowość, pochodzenie, wygląd, obyczajowość, kultura oraz wszystkie pozostałe wyróżniki umożliwiające zdefiniowanie „innego”, „odrębnego” bądź „obcego”. Dla kolejnych generacji Europejczyków penetrujących Brazylię, jedną z podstawowych, rozpoznawalnych kategorii był „Indianin”. Gdy niektóre ludy udawało się podbić, okiełznać bądź ustanowić z nimi pokojowe stosunki, by opisać mniej zdualizowany, nieco bardziej skomplikowany świat wzajemnych relacji, tworzono pod-kategorie lub kategorie nowe, na tyle niemniej proste, by nie narażać się na wyrzuty i wątpliwości rozniecane przez zbytnie rozniuansowanie. Popyt na kategorie stworzył w Santa

Catharinie dwa nowe wyróżniki: „indios mansos” – krajowców łagodnych i „indios bravos” – czyli tych dzikich i nieokiełznanych.

Xoklengów do pierwszych dekad XX wieku identyfikowano jako „indios bravos”, a co za tym idzie, przypisywano im zbiorczo piętnujące cechy. Portugalscy kolonizatorzy bardzo szybko nabrali do nich stosunku negatywnego. We wzmiankach na temat Xoklengów pisali o „zniekształcaniu twarzy” związanej z noszeniem botoków. Rzekoma deformacja i profanacja czystości ciała, jaką dostrzegali w tym obyczaju, kojarzyła się Portugalczykom z obrazem brzydoty. Potępienie obyczajowości stanowiło lotną narrację inwokacji o „wyuzdaniu dzikusów” i racjonalizowało przyjmowanie wobec Botokudów postaw pogardliwych. Różnice kulturowe były wyraźne i nie sprzyjały respektowaniu pełni człowieczeństwa drugiej strony. Szok, związany z odmiennością norm, tworzył dystans podczas bezpośrednich spotkań. Znane są reakcje polskich kobiet, które dostrzegając nagich Indian wchodzących do osady, onieśmiałe widokiem męskiego przyrodzenia, chowały się w domach i wychodziły dopiero gdy „źle ubrani” przybysze opuszczali wioskę.

Negatywna ocena społeczności botokudzkich nie odnosiła się tylko do zewnętrznych elementów kultury postrzeganych jako obrazoburcze: skąpego stroju, skaryfikacji ciała czy nieestetycznych w oczach osadników ozdób. By wyraźniej oddzielić cywilizacyjną cezurą dwie biegunowo odmiennie społeczności, należało przenieść ich opis do świata kierujących nimi wartości. Europejskie wychowanie i normy były dla kolonistów bez porównania wyższe. To nie ulegało dyskusji. Także i osoby, które starały się zachować wobec Indian sympatię i obiektywizm, jak polski pisarz Jerzy Ostrowski, określali wierzenia religijne tubylców mianem „naiwnych i prymitywnych”. Szukając usprawiedliwienia dla macoszego traktowania rdzennych mieszkańców, należało jednak wynaleźć coś dosadniejszego. Należało wykazać, że pierwsi mieszkańcy

Santa Cathariny uwięzieni są w ograniczoności własnej kultury, która uniemożliwia im wykształcenie w sobie pełni człowieczeństwa. Niemożność ta sprawia zaś, że postępują wbrew logice i nakazom serca.

W „Wypisach geograficznych” opublikowanych w Warszawie w roku 1907 zamieszczono relacje „niemieckiego wędrowca”, w której tenże stara się odrysować sylwetkę Botokudów. Z pełnym uznaniem wyraża się on o bitności i sile fizycznej recenzowanego ludu. W opisie swym stosuje taki przerost środków, że odnosimy wrażenie, iż czytamy o narodzie wojowników dotrzymującym kroku Scytom Herodota. Przy całym swym podziwie dla zręczności i siły fizycznej Xoklengów autor tekstu podkreśla, że ludzie ci stoją niżej od „najdzikszych, jakie są gdziekolwiek ludów, w obyczajach i pojęciach moralnych”. Otóż „nie znają oni żadnych uczuć wzajemnego przywiązania i pokrewieństwa: miłość rodzinna, ojcowska, macierzyńska, braterska, u nich nie istnieje, a przywiązanie do nich, obowiązki, kończą się prędko”. Uściślając, niemiecki wędrowiec, mylił się bardzo. Życie Xoklenga rozpoczynało się i kończyło w społeczności, w której rodził się i dorastał. Kolejne jego fazy życia znamionowały rytuały inicjacyjne i funkcje społeczne, które zachodziły wewnątrz i w stosunku do wspólnoty. Nie monogamiczna struktura społeczna, nie wykluczała wzajemnego zobowiązania i przywiązania.

Powiedzenie, że matki Botokudów nie wystarczająco kochają swoje dzieci – co zrobił pośrednio cytowany wędrowiec – miało znaczenie doniosłe. Zasilało system wierzeń głoszący, że Indianie nie są zdolni do tego samego wysiłku moralnego, co biali, a więc być może nie są tak samo ludzcy. Nie potrafiąc zaś wziąć odpowiedzialności za życie swych rodzin, być może nie są i zdolni do decydowania o sobie samych. Zenon Lewandowski, autor opublikowanego w Poznaniu w roku 1902 „Wychodźstwa polskiego i stanu Parana w Brazylii”, starając się oddać, jak się sprawy mają, wiązał fakty z zasłyszаныmi opowieściami. W zlepku zgromadzonych wiadomości podaje, iż

matki Xoklengów zabijają swe dziecko, jako zbezczeszczone, jeżeli go dotknęła tylko ręka najeźdźcy. Zdaniem Lewandowskiego nie są to odosobnione przypadki, które wiązałyby rękę białego z ręką demona, a przestrzegana zasada. Po postawieniu takiej tezy, odbieranie dzieci botokudzkim kobietom łatwo można było przedstawić jako misję nie tyle cywilizacyjną, co pilną inicjatywę humanitarną. Pewną dozę wyrozumiałości wobec tej praktyki zdaje się przejawiać sam Lewandowski, który pisze, że „z tych powodów dzieci botokudzkie, które popadały w jakikolwiek sposób w ręce kolonistów, zatrzymuje się i wychowuje”. Jak zobaczymy później, tubylcze dzieci trafiały do kolonialnych osad najczęściej wcale nie dlatego, że czekała je kaźń ze strony wyrodných matek.

Superlatywy pod adresem zdolności wojennych Xoklengów nie były powszechne. Równie często podkreślano ich niezdarność do trwałego stawiania oporu cywilizacji białego człowieka, przed którą muszą ustąpić; pisano również o zwykłym braku odwagi. Oddajmy raz jeszcze głos Hermannowi Blumenauowi, który siląc się na charakterystykę Indian wspomina, że Brazylijczycy nazywają ich „dzikusami”, Niemcy zazwyczaj podobnie, mówią o nich nie inaczej jak o „dzikich”. „Nie noszą broni palnej, do polowania i wojny wykorzystują łuk i zatrute strzały. Są bardzo tchórzliwi, a przy tym zdradliwi i niepodatni na cywilizację” – przekonuje założyciel niemieckiej kolonii w dolinie Itajai. Częściej słyszymy nawet nie tyle o owym tchórzostwie, co o okrucieństwie i wyrachowaniu, nieodrodnie towarzyszącym akcjom odwetowym wymierzonym w kolonistów. „W charakterze mają mściwość i okrucieństwo jakiego nie spotyka się u żadnego innego plemienia – pisze o nich Jerzy Ostrowski – W napadach swoich na kolonistów często łamali w kilku miejscach ofiarom maczugami ręce i nogi i pozostawiali okaleczonych lub kładli w ognisko”. Czy jednak rzeczywiście napadom Indian na zaskoczonych osadników towarzyszyły jedynie podstęp i szal obliczone na wybicie najeźdźców?



Istotną lekcję poglądową na ten temat dostarcza nam świadectwo „babci Szafrańskiej”, naocznej świadek wydarzeń z lat 80. XIX wieku. Jak relacjonuje Władysław Wójcik „Rodzina Szafrańskiej, związana z rozruchami robotniczymi w Łodzi, zmuszona była emigrować do Brazylii przez niemiecką granicę, dołączając do fali emigracji chłopskiej z zaboru carskiego”. Podobnie jak duże rzesze Polaków, którzy docierali do Santa Cathariny Szafrańscy zostali wysłani w głębokie odstępów interioru, nad rzekę Ribeirão de Ouro. Z portu Itajai trafili do Brusque, a stamtąd „już leśnymi ścieżkami szli cały dzień pieszo, dzieci tylko i bagaż wioząc na grzbietach jucznych mułów”. Po drodze natrafili na małą osadę Kaszubów osiedlonych tam kilkanaście lat wcześniej. Wtedy właśnie Szafrańscy dowiedzieli się, że udają się na niepewne tereny, penetrowane nadal przez Indian. Napotkani Kaszubi ostrzegali ich że ci „dzicy ludzie” napadają nocami na chaty kolonistów i „rozbijają im głowy maczugami, nie szczędząc kobiet ani dzieci”. Babcia Szafrańska opisywała niepewność, jaka towarzyszyła ich życiu w następnych latach. Gdy mężczyźni wyruszali do pracy kobiety zostając same na długie tygodnie „po nocach modliły się ze strachu”. Zapowiadane rajdy Indian były jednak dla nich niezauważalne, krążyły jedynie pogłoski o atakach na niemieckich osadników. Nie wysoką częstotliwość wypadów Indian potwierdza również polski działacz polonijny Stanisław Kłobukowski, który pisał, że „napady są rzadkie i nie odstręczają kolonistów naszych od

nabytych w głębi boru działów". Zdarzały się wyjątki, jak np. w Grão Para w stanie Santa Catharina, gdzie jak podaje Kłobukowski, 75% mieszkańców wskutek niepokojów związanych z obecnością Botokudów wyemigrowało do Rio Grande do Sul. Jednakowoż w wielu innych miejscach Polacy dowiadawali się o autochtonach tylko „z opowiadania i pism”.

Co zaś się tyczy dalszych losów babci Szafrąńskiej, to jak sama podaje „Indianie pojawili się dopiero w drugim roku po naszym osiedleniu, ale stało się to w dzień”. Co mówi Szafrąńska o agresywności Xoklengów? „Nie napadali oni na chaty, tylko na polu jednego z sąsiadów nałamali kaczanów zielonej kukurydzy, a drugiemu porwali chodzącego luzem prosiaka... Ludzie mówili, że jeżeli Botokudów nie złościć i nie strzelać do nich, to zabiorą tylko z pola to, co im się nadaje do pożywienia, a osadników zostawią w spokoju”. Na ogół nie dochodziło więc do starć między przedstawicielami dwóch kultur. Tylko czasami, któryś z mężczyzn strzelił z pistoletu lub karabinu w powietrze „bo ludziom bardziej szkoda było krowy lub świni niż kukurydzy”. Zdarzały się jednak „noce pełne trwogi, kiedy Botokudzi z zemsty za zabicie jednego z nich na plantacjach, zamordowali w okolicy kilka rodzin osadników niemieckich”. Niemcy bowiem zdecydowanie częściej oburzeni zaborem inwentarza lub pracy swych rąk, sięgali po broń i mierzyli do Indian niczym do szkodników.

Jak sugeruje Zenon Lewandowski w zemście i rewanżyzmie Xoklengowie nie stosowali jednakże odpowiedzialności zbiorowej. Świadectwem jego pióra, niektórzy koloniści polscy stykali się z Botokudami w lesie i rozchodzili podobno zgodnie. „Przypisać to można tej okoliczności, że Polacy nie urządzają sobie ohydnych polowań na Indian, uważając to za sprzeczne z przykazaniem bożym” – pisał Lewandowski, dodając, że „Botokudzi umieją rozróżniać nieprzyjaciół, wyśmienicie znają swych spokojnych sąsiadów, bo przychodzą wieczorem podglądać do ich okien”. Osadnicy polscy, mimo tej uwagi, brali czynny udział w ekspansji w głąb interioru i walnie

przyczyniali się do zaboru przestrzeni życia ludu Xokleng. Pochód ten niszczył zarówno samowystarczalność autochtonów oraz ich święte miejsca kultu. Nie zaskakuje więc, że i Polacy stawali się celem ataków Indian. „Otwarcie mówiąc były do tego powody. – przyznaje sam Lewandowski – Osadnicy zabrali im za wskazówką rządu, mimo przestróg ich, święte miejsca”. Winą za zajścia obarcza brazylijski rząd również Kłobukowski, gdyż zachęcając do tego osadników pobudował „osiedla na cmentarzyskach botokudzkich, nie troszcząc się o kult przodków u dzikich”.

W latach 90. XIX wieku, w niedługim czasie z rąk Xoklengów zginęło ok. 20 osadników polskich. Wśród ofiar znalazła się rodzina Przybylskich „wycięta w pień podczas roboty w Południe”. Powodów śmierci całej rodziny Kłobukowski upatruje w tym, że „przy karczowaniu lasu za daleko odbiła się od reszty towarzyszy”. „Nie zważał nikt z niej na to, że przez kilkanaście dni co dzień, sznurek powoju zagradzał mu drogę zawsze w jednym miejscu obok źródła. Było to ostrzeżenie dzikich” – nie miał wątpliwości polonijny działacz. Gdy cierpliwość miejscowych Xoklengów skończyła się odwet był srogi: życie stracili zarówno rodzice, jak i dzieci. Z obrazu pozostawionego przez naocznych świadków i polskich pisarzy, nie wynikało by Indianie działali bez namysłu i z samego umiłowania upuszczania krwi osadników. Chociaż mieli powody by bronić swej ziemi przed kradzieżą i karczunkiem, zanim uderzali podejmowali częstokroć wszystkie środki zaradcze, mające skłonić kolonistów do odejścia lub rezygnacji z dalszych postępów. „Dopóki ludzie nie wycinali lasów, to Indianie nie robili nic złego, ale jak nasi wzięli się do wyrębu, to zaraz zaczęli ciskać kijami na domy i po nocach pukali” – pisał jeden z młodych kolonistów polskich na początku lat 90. XIX wieku. Zachowawczość Xoklengów potwierdza również Ostrowski: „Mieli oni zwyczaj naprzód straszyć i dawać znaki nocami stukaniem i innymi hałasami, następnie dopiero napadać i mordować całe rodziny. Ciekawy objaw, że nigdy nie napadali w nocy, tylko o wschodzie i w południe”.

Stereotyp okrutnego Botohuda, który zdradziecko, bez zasad, zaczaja się na spokojnych osadników i bezlitośnie morduje w nocnym śnie, był zasadniczo przerysowany. Zanim przystępowali do napadu, znalazłszy ku temu powody, Xoklengowie podejmowali wcześniej znane sobie środki prewencyjne, mające skłonić ludność napływową do zaprzestania niepożądanego aktywności. Jeśli nie działali akurat w afekcie, dopiero po wyczerpaniu wszystkich wypracowanych środków przystępowali do zbrojnej konfrontacji z oponentami, ignorującymi ich ostrzeżenia i odnawianą od dłuższego czasu linię zakazu. Jak widzimy, nie działali również pod osłoną nocy, która jakby powiedział zacny mieszczanin, służy za przykrywkę ludziom szemranym. Cierpliwość niektórych osadników ignorujących łamanie kaczanów kukurydzy, czy zachowawczość Xoklengów, którzy stosowali swoistą puszcząską dyplomację bez użycia przemocy, zanim rzeczywiście napadali, były niewystarczające w tamtym czasie aby przedstawiciele obu światów mogli się spotkać i nawzajem zrozumieć. Nie sprzyjał temu również fakt, że gdy duże rzesze osadników ruszyły po 1888 roku do południowej Brazylii, Xoklengowie padali już ofiarą kampanii bezlitosnej i zapamiętałej.

KU ZAGŁADZIE XOKLENGÓW. BUGREIROS – KONDOTIERZY EKSTERMINACJI

Nie będąc w stanie zapewnić bezpieczeństwa gwarantującego ochronę przed ciekawością lub zemstą Indian zarządcy kolonii Blumenau zachęcali osadników do zbrojenia się i eksponowania swojej siły na zewnątrz. Uzbrojenie, zwłaszcza w drugiej fazie kolonizacji Doliny Itajai, stawało się powszechne. Osadnicy z dumą nosili pistolety i winchestery. Zalecano im, aby zawsze mieli je pod ręką i sprawiali wrażenie, że są gotowi do odparcia każdego ataku, a w razie potrzeby ,wsparcia swoich sąsiadów. Respekt wobec siły białego człowieka miał trzymać ludność tubylczą na dystans.



Brazylijska monarchia i rząd prowincji Santa Catharina nie rezygnowały jednocześnie z miękkich metod pacyfikacji Indian. Wszelkie programy cywilizacyjne rokujące nadzieję na okiełznanie Xoklengów znajdowały uznanie i protekcje. W 1868 roku kapucyńscy kapłani, Virgilo Amplar i Estevam de Vicenza podjęli pracę katechetyczną w Lages i Itajai. W 1885 roku na zlecenie Ministerstwa Rolnictwa do Santa Cathariny przybywa Frei Luiz de Cimitile, misjonarz pracujący wcześniej w indiańskich wioskach w prowincji Paraná. Wspierany materialnie przez Ministerstwo Finansów, nie zdołał pozyskać neofitów. Niepowodzeniem kończyły się również świeckie próby przyciągnięcia Xoklengów. Joaqium Lopes, sartenitas, znawca interioru, zaczął swoje wysiłki w 1877 roku i prawdopodobnie nie odniósł żadnych większych sukcesów. Zupełnie inaczej niż w przypadku ich sąsiadów Kaingangów, Botokudowie zachowywali dystans wobec społeczeństwa napływowego i nie dawali się przysposobić do życia osiadłego oraz trwałej poufałości z osadnikami. Pokrewieństwo etniczne i jednak różnice dotyczące tego względu przysparzały Xoklengom tytułu „dzikich Kaingangów”. Frakcja nawiązująca do idei chrześcijańskich lub pozytywistycznych, wołająca o miękką pacyfikację Indian, poprzez zbliżenie i przyciągnięcie bliżej jądra cywilizacji zachodnioeuropejskiej istniała i zyskiwała na znaczeniu z początkiem XX wieku. Zdecydowanie mocniejszym i wywierającym większym wpływ na rzeczywistość, poprzez tworzenie faktów

dokonanych, był jednakże obóz domagający się energicznych rozwiązań siłowych. Za jego dewizę moglibyśmy obrać hasło: „Jeśli nie możecie przyciągnąć i okiełznać, po prostu wymordujcie ich”.

Brazylijski rząd ani kompanie kolonizacyjne, dla których Indianie stanowili tylko kłopot, nie przewidywali zabezpieczenia jakichkolwiek terenów na rzecz Xoklengów. Poszukując najlepszych metod rozwiązania problemu indiańskiego, najbardziej niedorzeczną propozycją wydawało się im pozostawienie autochtonów samym sobie. Żywiono raczej nadzieję, że wraz z postępem osadniczym rdzenna ludność będzie stopniowo wyniszczana. W dokumentacji z tego okresu pierwsi mieszkańcy Santa Cathariny określani są mianem bariery dla rozwoju. Głowiąc się nad dylematem ludności tubylczej dostrzegano nieefektywność pieszej, mało mobilnej drużyny strzelców, nie potrafiącej sprostać specyfice konfliktu. Formacja, krytykowana wcześniej przez Blumenaua, została ostatecznie rozwiązana 23 sierpnia 1879 roku po ponad 40 latach służby. Nowy model konfrontacji z Botokudami będzie się odtąd opierał na wykorzystywaniu mniejszych oddziałów, polegających na efekcie partyzanckiego zaskoczenia. Trzon tych drużyn stanowić musieli zatem ludzie dobrze znający las i tajniki tropienia. W rolę tę doskonale wpasowywali się Metysikabokle, ludzie znający surowość życia na obrzeżach kolonii, dla których pogranicze stanowiło naturalną przestrzeń aktywności. Wcześniej, 31 stycznia 1874 roku, gazeta Kolonie Zeitung wychodząca w Joinville donosiła o wymarszu z São Bento największej wyprawy do walki z „dzikimi krążącymi w pobliżu Blumenau i Joinville”, zatwierdzonej osobiście przez prezydenta prowincji. Robiąca wrażenie ekspedycja składała się z 31 mężczyzn i była dowodzona przez João dos Santos Reisa.



Bugrejrzy z uprowadzonymi dziećmi

Nowy model popierany przez najwyższych urzędników w prowincji Santa Catharina miał być prostszy, za to w założeniu bardziej skuteczny. Opierając się na własnych środkach, wsparciu kompanii kolonizacyjnych oraz na darowiznach niektórych mieszczan, zaczęto kompletować niewielkie oddziały karne. Stworzono spółkę „Batedores do Mato”, zwaną również „Patrulhas de Bugreiros”. Jej członków określano mianem „bugreiros” (bugrejrzy), co odnosiło się do rozpowszechnionego wśród kolonistów określenia Indian jako „Bugrów”. Oficjalnym celem działalności zbrojnych drużyn było „odstraszanie dzikusów”. Jedynym sposobem realizacji tej polityki w praktyce była maczeta, pistolet i strzelba. Brutalne ataki na obozy Indian nie były autorskimi pomysłami bugreiros, strategia ta była popierana i na bieżąco dotowana przez najwyższych urzędników w państwie. Nie kryto się z tym specjalnie. W roku 1883 gazeta Jornal do Comércio ukazująca się w Florianópolis zamieściła telegraficzne wiadomości potwierdzające, że wydatki na eksterminację rdzennych mieszkańców były zatwierdzane przez rząd. Kurtuazyjne wiadomości wymieniane przez pułkowników i polityków wysokiego szczebla, zawierały prośby i zapowiedzi wypłacania żołdu dla bugrejrw.

Sformowanie oddziałów „Patrulhas de Bugreiros” otwiera nowy,

złowieszczy stosunek między Xoklengami, a wchodzącymi na ich terytoria osadnikami. O ile wcześniej Indianie byli wypierani ze swoich ziem, a procesowi temu towarzyszyły ofiary po obu stronach, teraz zaczęto autochtonów traktować już nie jak „niesforne dzieci”, a bardziej jako szkodniki lub drapieżne zwierzęta, które w razie konfrontacji należy wytrzebić. Wiarę w słuszność bardziej ofensywnej linii wobec Indian wzmacniały pojedyncze sukcesy niektórych pościgów, których autorzy zyskiwali sobie podziw za odwagę i niezłomność. José Deeke relacjonuje jeden z rajdów za Xoklengami zarejestrowany w Alto Cedros w 1894 roku. Júlio Vogel wraz z dziesięcioma włoskimi osadnikami kontynuując pościg za Indianami, zaskoczył ich i zmusił do ucieczki. Gdy tropiona gromada Botokudów znalazła się w zasięgu strzału, rażona kulami przez grupę pościgową, uciekając w popłochu porzuciła niemal cały dobytek wraz z łukami, strzałami i garnkami. Vogel i jego towarzysze byli pewni, że pociski dosięgły celu i niektórzy członkowie grupy odczuli je na własnej skórze, ale jak relacjonuje Deeke, „Indianie jak to mają w zwyczaju, jeśli tylko mogą, unoszą ciała” martwych i rannych współplemieńców. Włoski oddział Vogla powróciwszy do Blumenau z załadunkiem broni i przedmiotów odebranych Indianom wywołał wielkie wrażenie. Skuteczna walka w borze z tubylcami okazywała się możliwa. Przekonanie te dostarczało argumentów pod jeszcze jedno niewypowiedziane hasło: „Nie czekajcie na Botokudów w swoich domach, a przyjdźcie do nich”. Założenie te wpasowywało się w strategię bugrejów.

Oddziały bugreiros składały się z reguły z 8-15 mężczyzn. W takich grupach miały szansę niezauważone przemieszczać się po lesie i na obrzeżach bytowania Xoklengów. Jak zaznaczyliśmy już wcześniej, większość członków tych grup stanowili Metysi, dobrze znający sposoby przetrwania w buszu. Podstawą powodzenia ich akcji było wywołanie szoku przez całkowite zaskoczenie ofiar. Napady na obozy Indian planowano więc w taki sposób, by nic nie spodziewająca się społeczność była jak najmniej skłonna do stawiania skutecznego oporu. Najbardziej

znanym bugrejrem w stanie Santa Catharina, na tyle znanym iż jego sława dotarła aż za granicę był Martinho Marcelinho de Jesus, rozpoznawany lepiej pod przydomkiem „Martinho bugreiro”. Człowiek ten urodził się w 1876 roku w Bom Retiro i początkowo pracował na gospodarstwie majora Generoso de Oliveiry. Na szerokie wody wypłynął dopiero wówczas gdy stał się etatowym najemnikiem tropiącym i mordującym Indian. Jego skuteczność była tak wielka, że w 1905 roku ze składek niemieckich przedsiębiorstw funkcjonujących w kolonii wyasygnowano mu, jak podaje W. Wójcik „dużą jak na owe czasy kwotę, za wytępienie i rozproszenie plemienia Botokudów”.



Bugrejrzy pozują do zdjęcia wraz z indiańskimi kobietami i dziećmi zniewolonymi podczas masakry

O dokonaniach Martinho rozpisywały się obszernie kolonialne dzienniki. Potrafił wieloma dniami i nocami przedzierać się przez las, tak by wybrać najdogodniejszy moment na uderzenie. Podchodził do wytropionego obozu Xoklengów nocą, uderzając wraz z pierwszymi przebłyskami poranka, a więc w momencie, gdy ludzie śpią najmocniej. Ponoć sam podkradał się pod obozowisko Indian, by wypatrzyć w którym miejscu składają broń przed spoczynkiem. „Botokudzi mają ten niepraktyczny zwyczaj”, iż składają swe uzbrojenie w jednym miejscu – pisał Wójcik – i na zdobyciu tego cynku opierał się cały plan zaskoczenia Martinho. Posiadłszy tę wiedzę jako pierwszy wkraczał do

uśpionego obozu, zajmował punkt w którym Indianie złożyli swe łuki i strzały, po czym wystrzałem z pistoletu dawał znak do ataku przyczajonym w lesie kamratom. W tym momencie rozpoczynała się rzeź przy wykorzystaniu karabinów i maczet. Ginęli wszyscy, którym nie udało się zbiec w leśną gęstwinę. Martinho miał jednakże ten zwyczaj, że darował życie co niektórym zatrzymanym dzieciom, rzadziej kobietom. Prowadził je następnie związane, jak trofeum, do niemieckich osad gdzie były one przygarniane przez domy zakonne i dobrze sytuowanych mieszczan. Tym sposobem przyczyniał się do budowaniu mitu dzieci wyzwolonych z rąk dzikusów gładzących swoje potomstwo. Nie były to znowu tak liczne wyzwolenia.

Z rzezi opisanej przez dziennik „Novidades” w roku 1905 bugrejczy Martinho zachowali jedynie 10-letniego chłopca. Z innej masakry banda najemnika z Bon Retiro przyprawia jedenaścioro dzieci. Na terenie dzisiejszej gminy Angelina ta sama drużyna uprowadza pięcioro dzieci (trzy dziewczynki, dwóch chłopców). Trafienie na łono kolonialnej społeczności nie oznaczało dla nich zresztą sielankowego życia. Autochtoni nie posiadali odporności immunologicznej na choroby zewnętrzne, występujące na łonie społeczeństwa kolonialnego. Pierwszy kontakt zawsze prowadził za sobą epidemiologiczną hekatombę. Niewielka infekcja kończyła się dla nich śmiercią. O ileż znacznie na jej przemożny wpływ narażone były tubylcze dzieci... Tylko niektórym udawało się dożyć pełnej dorosłości. Te spośród nich które unikały przedwczesnej śmierci, wykazywały wysoką przytomność umysłu, niezgodną z darwinistyczną koncepcją niższości ras, która kształtowała wyobrażenia niektórych osadników. Jedną z takich osób była Maria Korikrãñ. Gdy w 1897 roku po dokonaniu masakry w Pouso Redondo uprowadzono ją do niemieckiej kolonii miała zaledwie 12 lat. Prowadzono ją związaną przez Florianopolis i Blumenau. Jej bracia pojmieni w tym samym uderzeniu wkrótce zmarli. Ona wychowywana przez swojego przybranego ojca doktora Hugo Genscha, władała czterema europejskimi językami: niemieckim, angielskim, francuskim i portugalskim. Charakter Marii

cechował się zachowawczością i kontemplacyjnym usposobieniem. Życie na europejską modłę nie było jej obce – nigdy nie wyszła jednak za mąż ani nie pozwoliła na zbliżenie się do siebie żadnemu mężczyźnie. W wieku 42 lat zachorowała na gruźlicę i zmarła. Dziękując przybranemu ojcu za okazaną dobroć zapewniała, że „nigdy nie zapomni tego, co się stało” w jej dzieciństwie. Wizja zamordowanych członków rodziny nawiedzała ją w snach.

Inną osobą obok Genscha, która przyjęła dzieci ocalone z masakry Xoklengów był major Vincent Schaefer. Wśród wychowanków adoptowanych przez niego znalazła się Ana Angantina. Życie nie miało oszczędzić jej traumy; potem jeszcze spotkała Martinho bugreira, jak wykrzyczała swojemu przybranemu ojcu „człowieka, który zabił jej rodziców”. Bezsilność dzieci i młodzieży indiańskiej wychowującej się wśród społeczeństwa kolonialnego sprowadzała się do niemożności prawnego ścigania sprawców masakr. Wartości życia „nieoswojonych tubylców” nie poważano, mordowanie ich nie podlegało penalizacji. Przeznaczenie uprowadzonych indiańskich dzieci do życia wśród kolonistów wzmacniano przekazami o nieuniknionej śmierci, jaka miała by je czekać, gdyby powróciły na łono swej pierwotnej społeczności. Polscy podróżnicy i działacze polonijni widywali dzieci Xoklengów odchowywane wśród mieszczan i w przybytkach kościelnych. Pouczeni przez miejscową ludność widząc „małego Botokudka” wyrażali przekonanie, iż „nie ma obawy najmniejszej żeby uszedł do swoich. Wie bowiem, że własni nawet rodzice go zabijają, skoro go ujrzą w ubraniu”.

Wglądu w statystyczną umysłowość niemieckiego mieszczanina tego okresu dostarczają nam wspomnienia Theodory Odebrecht, synowej inżyniera Emila Odebrechta. W 1907 roku od pół roku mieszkając w kolonii Rio do Sul stała się świadkiem wkroczenia do osady Martinho bugreira. „Znany łowca, przyprowadził ze sobą więźniów – zapisała – zatrzymani byli prawie wyłącznie dziećmi. Znajdywały się wśród nich tylko dwie kobiety.

Mężczyźni są rzadko łapani , ponieważ w trakcie walki giną , a inni prawdopodobnie uciekają”. Theodora rozprawia o tym lekko nie dopuszczając, jak widać, aby w trakcie tej łapanki zrobiono coś, co wykraczałoby poza pojęcie wojny sprawiedliwej. Pani Odebrecht miała też jasno zarysowaną cezurę między nasieniem mogącym wydać plon, a tym co dla cywilizacji już utracone: „Uwięzione dzieci rozprowadzano wśród ludności Blumenau, niektóre z pewnością stały się dobrymi chrześcijanami. Tego samego nie można powiedzieć o kobietach”. Jak w rzeczywistości przebiegały mordy, odmałowywane z łagodnością przez Theodorę Odebrecht? Wsłuchajmy się w relację zamieszczoną w gazecie Blumenau Zeitung. Dziesięciu bugrejów wyruszyło w poszukiwaniu Xoklengów w pobliżu Aquidabam. Wypatrzyli duży obóz autochtonów o powierzchni 35m x 10m otoczonych kilkoma mniejszymi szałasami. Ocenili, że w tymczasowej osadzie przebywa prawie 230 osób, głównie kobiet i dzieci. Atak nastąpił o świcie. „Terror był tak wielki, że dzicy nie myśleli o obronie”, szukali jedynie schronienia. Napastnicy nie oszczędzali życia, niszczyli wszystko. Dzieci leżały i trzymały ciała zabitych matek. Potem nastąpiła grabież, brano wszystko co posiadało jakąkolwiek wartość; resztę spalono”.

Od początku bugreiros, zwolennicy ich działań oraz mocodawcy, aby usprawiedliwić i na bieżąco legitymizować słusność trzebienia Indian, propagowali swoisty system wierzeń, który przedstawiał ludność tubylczą jako włóczęgów, morderców i złodziei. Botokudowie reprezentować mieli wrogie siły, stanowiące zagrożenie dla ideałów „cywilizacji” i postępu”. Życie napływających osadników było więc zagrożone, lecz wtedy, jak głosiła ideologia, pojawili się „bugreiros”, bohaterowie zdolni do przywrócenia pokoju. Przybycie bugrejów traktowane było jak wybawienie, najemnicy uzbrojeni w maczety i karabiny zyskiwali poważanie. Jeszcze na początku XX wieku wśród białych kolonistów funkcjonował pogląd, iż „zmierzenie się z dzikusami stanowiło zadanie tylko dla odważnych”. W tworzeniu tej mitologii nie przeszkadzały relacje o napadach na śpiących

Indian i zabijanie ich dziesiątkami. Zabójcy Botokudów byli proszeni, o to by opowiadali o swoich bohaterskich czynach. Podczas spotkań w kawiarniach i na festiwalach kościelnych, relacje dotyczące „polowań” na autochtonów zawsze przyciągały słuchaczy na długie godziny.



Przykładem bohaterskiego bugreiros, który za próbę zaprowadzenia „pokoju” złożył ofiarę najwyższą był José Bento. Jak relacjonował José Deeke Xoklengowie napadli na dziewięć rodzin w Fundos Warnow. Bento na czele ponad 12 strzelców wyruszył w pościg i dokonał rzezi w obozie Indian. Do „cywilizacji” powrócił z symbolicznym łupem 52 strzały, włóczniami i pozostałym zawłaszczonym mieniem. Po udanym pościgu otrzymał kolejną misję od władz. Tym razem stanął na czele grupy 20-osobowej. Ekspedycja ta okazała się dla niego ostatnią. Jego towarzysze broni powrócili z wiadomością o śmierci dowódcy wyprawy, trafionego strzałą w szyję. Na dowód zdarzenia przynieśli strzałę która pozbawiła go życia. Pozostali członkowie wyprawy odmówili dalszych wysiłków tropienia Indian, bez względu na to jakie warunki im proponowano. Dziennik „Novidades” 19 czerwca 1904 roku informując o śmierci bohaterskiego bugrejra pisał o Indianach, tak jakby byli zwierzętami: „Przywódca ekspedycji José Bento został zabity przez dzikusów. Jego śmierć powinna napełniać nas szczerym współczuciem. José Bento był bardzo odważnym człowiekiem, najlepszym z naszych myśliwych dzikusów”. Nie

jest to odosobniony przypadek. Franco Frankenger przybył do Brazylii zachęcony ulotkami propagowanymi w Niemczech. W 1892 r. osiadł w nowej kolonii Rio do Sul. Jego dzienniki są jednym z najważniejszych tekstów źródłowych umożliwiających odtworzenie życia kolonii na południu. Gdy wspomina w nich o walkach z Indianami za każdym razem nazywa je „polowaniem”.

Fach bugrejra należał do zajęć pewnych i dochodowych. Zapotrzebowanie na ekspedycje wymierzone w Indian było na tyle pilne, że dla 73 mężczyzn zajęcie te stanowiło jedyny zawód. Dbał o to brazylijski rząd, który stale naciskany przez misje dyplomatyczne Włoch, Austro-Węgier i Niemiec żądających zapewnienia bezpieczeństwa imigrantom, chciał uniknąć posądzeń o obojętność wobec swych nowych obywateli. Z biegiem czasu od bugrejów domagano się prezentowania owoców wykonanej pracy, tak jak uczciwość ekspedientów lustruje inwentaryzacja, a zaangażowanie pracowników na akord określa wykonana dzienna norma. Łowcy Indian musieli więc przynosić widzialne dowody śmierci Botokudów do ośrodków, wypłacających im nagrody. Czyniono to w makabryczny sposób, odcinając martwym ofiarom uszy i umieszczając je w soli. Zakonserwowane uszy ofiar dostarczano następnie do kompanii kolonizacyjnych odpowiedzialnych najczęściej za płacenie bugreiros. Nie ograniczano się zresztą tylko do nich. Znane są przypadki odcinania nosa i kończyn, panująca dezynwoltura skłaniała zaś najemników do dekorowania swoich strzelb zębami zabitych Indian. W pisemnym oświadczeniu złożonym w 1972 roku przez bugrejra za młodu, Ireno Pinheiro, opisywał on znany już nam przebieg ataku. Ciało ofiar cięte maczetą zestawiał z miętkością bananów, każdą parę uszu określał mianem bezcennej. Dokonywane rzezie i brak litości usprawiedliwiał koniecznością – wypuszczenie raz złapanych Xoklengów, zachęcałoby ich później do zemsty.

Bugreiros, jak zaznaczyliśmy, nie uważali swej misji za przykrą konieczność, o swych rajdach mówili otwarcie zarówno w knajpie, jak i w domu. Syn jednego z bugrejów relacjonował

opowiadania swego ojca. Początek napadu na indiański obóz zaczynał się zawsze podobnie. Wystrzały pistoletów i karabinów powalały i onieśmielały zaskoczonych Botokudów. Dynamika wydarzeń nie pozwalała na ponowne załadowanie broni. Wtedy w ruch szły maczety. Wspomniany bugreiros relacjonował swojemu synowi scenę, kiedy jego kuzyn chwycił za włosy dziewczynę uciekającą do lasu i przeciął ją maczetą. Stał spadła na ramię i przeszła przez korpus do krocza. Skala dopuszczalnego okrucieństwa i pastwienia się nad ofiarami nie była u wszystkich bugrejów taka sama. Henrique Vandresen był potomkiem imigrantów z Beneluxu, który osiadłszy w Rio Fortuna, stanął na czele grup pościgowych, które próbowały zmusić Xoklengów do trzymania się z dala od osadników. Po jednym z napadów na obóz Indian w zamieszaniu uciekinierzy zostawili dziecko. Vandresen znalazł je w obozie i zamierzał zabrać do domu. Wtedy jeden z jego towarzyszy, Martin Cavalheiro sprzeciwił się zamierzeniu kolegi w najgorszy z możliwych sposobów. Wyrwał dziecko z rąk Henrique Vandresena, rzucił na ziemię i zamordował maczetą. Wzburzeni tym aktem barbarzyństwa członkowie ekspedycji rozbroili Martina, trudno orzec czy dlatego by nie siał on więcej zniszczenia, czy aby zachować go od zemsty Indian mogących obserwować zbrodnię z ukrycia. Kara nie ominęła niemniej mordercy. Gdy odłączył się na moment od grupy, by zaczerpnąć wody, dosięgła go dobrze mierzona xokleńska strzała. Podziw wobec bugrejów przy całym swym splendorze był ograniczony. Byli i tacy którzy zarzucali im sprzeniewierzenie się religii lub zwykłe tchórzostwo. Zenon Lewandowski pisał, że „wobec tak barbarzyńsko-marsowych zasad nie posiadają oni tyle odwagi, aby swoje czyny własną pokryć odpowiedzialnością, mażą sobie bowiem przed wyprawą twarz farbą, aby ich dzicy poznać i później pomścić swej krzywdy nie mogli”.

Autor: Damian Żuchowski

Dla „Wolnych Mediów”

Bibliografia będzie dostępna w części trzeciej